

„KLĄTWA STAREJ STRÓŻKI”  
Agata Christie

— Jak się dziś pani czuje? — zapytał doktor Haydock swoją pacjentkę.

Panna Marple uśmiechnęła się blado spośród poduszek.

— Myślę, że lepiej, ale czuję się okropnie przygnębiona. Nie opuszcza mnie uczucie, że byłoby lepiej, gdybym umarła. Jestem przecież starą kobietą. Nikt mnie nie potrzebuje i nikt się o mnie nie troszczy.

Doktor Haydock przerwał jej w swój zwykły, szorstki sposób.

— Tak, to typowa reakcja po tego rodzaju grypie. Potrzebuje pani czegoś, co panią oderwie od myślenia o sobie. Czegoś wzmacniającego umysł.

Panna Marple westchnęła i pokiwała głową.

— Co więcej — kontynuował doktor Haydock — przyniosłem to lekarstwo ze sobą! — Położył na łóżku długą kopertę. — Rodzaj zagadki w sam raz dla pani.

— Zagadki? — Panna Marple wyglądała na zainteresowaną.

— Moje literackie wypociny — powiedział doktor, lekko się rumieniając. — Próbowałem zrobić z tego opowiadanie. On powiedział, ona powiedziała, dziewczyna pomyślała itd. Wydarzenia w tej historii są prawdziwe.

— Ale dlaczego zagadka? — spytała panna Marple. Doktor Haydock uśmiechnął się szeroko.

— Rozwiązanie jej należy do pani. Ciekaw jestem, czy jest pani tak bystra, za jaką uchodzi. — Wypuściwszy tę partyjską strzałę, wyszedł.

Panna Marple wzięła rękopis i zaczęła czytać.

— A gdzie jest panna młoda? — spytała wesoło panna Harmon.

Cała wieś czekała w napięciu na bogatą i piękną młodą żonę, którą Harry Laxton przywiózł z zagranicy. Panowało ogólne przekonanie, że Harry — młody zawiadacz — miał wielkie szczęście. Zawsze traktowano go z pewną pobłażliwością. Nawet właściciele okien, które ucierpiały z powodu nadmiernego używania procy przez małego Harry’ego, stwierdzali, że ich oburzenie malało wobec wyrażonej przez chłopca skruchy. Tłukł szyby, kradł w sadach, zastawiał sidła na króliki, potem popadł w długi i związał się z córką właściciela sklepiku tytoniowego. W końcu został wysłany do Afryki. Wieś zaś — reprezentowana przez różne starzejące się panny — szeptała pobłażliwie: „Co tam! Dziki żrebak! Wyszumi się”.

I rzeczywiście utracjusz powrócił — z tarczą, a nie na tarczy. Mówiono, że Harry Laxton „wszedł na prostą drogę”. Opamiętał się, ciężko pracował i wreszcie poszczęściło mu się. Uderzył w konkury do młodej, bogatej dziewczyny — pół–Angielki, pół–Francuzki — i został przyjęty.

Harry mógł zamieszkać w Londynie albo też nabyć posiadłość w jakimś modnym hrabstwie. Wolał jednak powrócić do tego zakątka na ziemi, który był dla niego prawdziwym domem. Wiedziony sentymentem kupił opuszczoną posiadłość, w oficynie której spędził dzieciństwo.

Kingsdean House pozostawał nie zamieszkanym przez prawie siedemdziesiąt lat. Stopniowo ulegał zniszczeniu i podupadał. Stary stróż wraz z żoną mieszkał w jedynej, nadającej się do tego celu części. Rezydencja była ogromna, nieprzytulna i pretensjonalna. Ogrody porastała dzika roślinność, i otaczały posesję niczym ponurą kryjówkę czarownika.

Oficina zaś, którą wynajmował przez długie lata major Laxton, ojciec Harry’ego, była przyjemnym, bezpretensjonalnym domem. W dzieciństwie Harry włóczył się po całym majątku, znał każdy cal gęstego lasu, a sam stary dom zawsze go fascynował.

Major Laxton zmarł kilka lat temu i sądzić by można, że Harry’ego nic nie powinno przyciągać tu z powrotem, a jednak właśnie do domu swego dzieciństwa Harry przywiózł młodą żonę. Zrzucony, wiekowy Kingsdean House został rozebrany. Armia robotników i przedsiębiorców budowlanych spadła nań niczym sępy i w zadziwiającym tempie — o, czarodziejska wymowo

pieniądza! — nowy, biały dom zajaśniał wśród drzew. Następnie przybyła ekipa ogrodników, po niej zaś przedefilowały ciężarówki z meblami.

Dom był gotów. Wynajęto służbę. Wreszcie elegancka limuzyna przywiozła Harry'ego i panią Laxton przez frontowe drzwi. Pani Price, właścicielka największego domu w okolicy, uważająca się za inspiratorkę życia towarzyskiego w miejscowości, rozesłała karty z zaproszeniami na przyjęcie, „aby poznać pannę młodą”. Cała wieś pospieszyła z wizytą.

Było to wielkie wydarzenie. Z tej okazji niektóre damy nawet szyły sobie nowe suknie. Wszyscy byli podnieceni, niecierpliwi, ciekawi poznać tę fantastyczną osobę. Wszystko wyglądało jak w bajce!

Panna Harmon, ogorzała, krzepka stara panna, wyrzuciła z siebie pytanie, przeciskając się przez zatłoczone wejście do salonu. Mała, chuda, zawsze skwaszona panna Brent nerwowo udzieliła informacji:

— Och, moja droga, ona jest po prostu urocza. Ma takie dobre maniery. I jakże młodziutka. Wiesz, budzi się w człowieku nutka zazdrości na widok osoby, która posiada wszystko — urodę, pieniądze, znakomite pochodzenie. Nie ma w niej nic, absolutnie nic pospolitego — i drogi Harry taki oddany!

— Och — westchnęła panna Harmon — to dopiero pierwsze dni!

Cienki nos panny Brent drgnął znacząco.

— Och, moja droga, czy naprawdę uważasz...

— Wszyscy wiemy, jaki jest Harry — odparła panna Harmon.

— Wiemy, jaki był! Spodziewam się, że teraz...

— Ach — przerwała panna Harmon — mężczyźni się nie zmieniają. Oszust zawsze pozostanie oszustem. Znam ich.

— O mój Boże, biedne, młode stworzenie. — Panna Brent wyglądała teraz na o wiele szczęśliwszą. — Przypuszczam, że będzie miała z nim kłopoty. Ktoś naprawdę powinien ją ostrzec. Zastanawiam się, czy słyszała coś o tej historii? Nie jest w porządku, jeśli nic o tym nie wie. To przecież żenujące. Szczególnie, że w miasteczku jest tylko jedna apteka.

Od pewnego czasu córka właściciela trafiki była żoną pana Edge'a, miejscowego aptekarza.

— Byłoby lepiej — kontynuowała panna Brent — gdyby pani Laxton robiła zakupy u Bootsa w Much Benham.

— Przypuszczam — wtrąciła panna Harmon — że zasugeruje to sam Harry Laxton. — Przyjaciółki wymieniły znowu znaczące spojrzenia.

— Jestem przekonana — dodała panna Harmon — że ona powinna wiedzieć.

— Żmije! — z oburzeniem powiedziała Clarice Vane do swego wuja, doktora Haydocka. — Niektórzy ludzie są po prostu żmijami.

Doktor spojrział z pewnym zaciekawieniem na wysoką, dziewczynę, serdeczną, o impulsywnym sposobie. W jej dużych, brązowych oczach płonął gniew, gdy mówiła:

— Wyglądają jak rozwścieczone koty, robią aluzje, plotkują.

— O Harrym Laxtonie?

— Tak, o jego romansie z córką właściciela trafiki.

— Ach, o to chodzi. — Doktor wzruszył ramionami. — Wielu młodych ludzi ma miłostki tego rodzaju.

— Oczywiście. I to przechodzi. Po co więc stale o tym gadać, przypominać po wielu latach? Zachowują się jak sępy żerujące na padlinie.

— Zapewne masz rację, moja droga. Ale, widzisz, tutaj ludzie mają niewiele tematów do rozmowy, stąd owa skłonność do rozpamiętywania minionych skandali. Ciekaw jestem, dlaczego to ciebie tak bardzo denerwuje?

Clarice Vane zagryzła wargi i zaczerwieniła się. Odpowiedziała dziwnie stłumionym głosem:

— Oni... Oni wyglądają na tak szczęśliwych. Laxtonowie — mam na myśli. Są młodzi i zakochani, i wszystko jest dla nich tak cudowne. Z odrazą myślę, że ich szczęście może zostać zniszczone przez szept, insynuacje i aluzje czynione z niegodziwości.

— Ach, tak. Rozumiem.

— Właśnie ze mną rozmawiał — kontynuowała Clarice. — Jest tak szczęśliwy, pełen zapału, podniecony i tak... wzruszony, że spełnił swe najskrytsze pragnienie i odbudował Kingsdean. Zachowuje się jak dziecko. A ona — och — nie sądzę, by kiedykolwiek coś się jej nie udało w życiu. Zawsze miała wszystko. Widziałeś ją. Co o niej sądzisz?

Doktor nie odpowiedział od razu. Dla innych ludzi Louise Laxton mogła być obiektem zazdrości. Zepsuta wybranka fortuny. Jemu jej widok przywodził jedynie na myśl refren popularnej niegdyś piosenki: Biedna, mała, bogata dziewczynka...

Smukła, delikatna postać z płomiennymi włosami dość mocno skręconymi wokół twarzy i dużymi, niebieskimi oczami o rozmarzonym wyrazie.

Louise była trochę zmęczona. Długi strumień gratulacji znużył ją. Miała nadzieję, że wkrótce będą mogli wyjść. Być może, właśnie teraz Harry to oznajmiał. Patrzyła na niego kątem oka. Wysoki, barczysty, niezmordowany na tym strasznym, nudnym przyjęciu.

Biedna, mała, bogata dziewczynka...

— Uff! — To było westchnienie ulgi.

Harry odwrócił się i spojrzał na żonę z rozbawieniem. Odjeżdżali z przyjęcia.

— Kochanie, co za okropne przyjęcie!

— Tak, straszne. — Harry roześmiał się. — Nie przejmuj się, skarbie. Musieliśmy przez to przejść. Wszystkie te stare baby znają mnie od dziecka. Byłyby niepokieszone, gdyby nie przypatrzyły się tobie z bliska.

— Często będziemy musieli je widywać? — Louise wykrzywiła się.

— Och, nie. Przyjdą z uroczystymi odwiedzinami, złożysz — im rewizyty i nie potrzebujesz sobie więcej nimi głowy zawracać. Możesz zapraszać tu własnych przyjaciół lub robić cokolwiek ci się podoba.

— Czy mieszka tu ktoś interesujący? — spytała Louise po chwili.

— Och, tak — ziemianie. Chociaż oni również mogą cię trochę nudzić. Interesują się głównie sadzonkami, psami albo końmi. Oczywiście, będziesz jeździła konno. Spodoba ci się. W Eddington jest koń, którego musisz zobaczyć. Piękne zwierzę. Świetnie ujeżdżone, bez narowów a pełne energii.

Samochód zwolnił, aby skręcić do bram Kingsdean. Harry gwałtownie szarpnął kierownicą i zaklął. Z ledwością udało mu się ominąć dziwną postać, która pojawiła się niespodziewanie na środku drogi. Stała tam, wygrażając pięścią i krzycząc za nimi.

Louise chwyciła męża za ramię.

— Kto to jest... ta straszna, stara kobieta?

— To stara Murgatroyd. — Harry zmarszczył posepnie brwi. — Ona i jej mąż byli stróżami w starym domu. Mieszkali tam prawie trzydzieści lat.

— Dlaczego wygrażała ci pięścią?

— Ma mi za złe rozebranie domu. — Harry poczerwieniał. — Dostała wymówienie, oczywiście. Jej mąż nie żyje od dwóch lat. Mówią, że od tamtej pory trochę zdziwaczała.

— Czy ona... ona głoduje?

Wyobrażenia Louise były niejasne i nieco melodramatyczne. Bogactwo dystansuje od rzeczywistości.

— Wielki Boże, Louise, cóż za pomysły! — zawołał Harry z oburzeniem. — Przyznałem jej oczywiście pokazną emeryturę i znalazłem dla niej nowy domek.

— A więc o co jej chodzi? — spytała zdezorientowana Louise.

Twarz Harry'ego przybrała niezadowolony wyraz.

— Och, skądże mogę wiedzieć? To jakieś szaleństwo! Kochała ten dom.

— Ale on był całkiem zrujnowany, prawda?

— Oczywiście, rozpadał się na kawałki, dach przeciekał, stanowił zagrożenie. Przypuszczam jednak, że ta ruina coś dla niej znaczyła. Mieszkała tutaj bardzo długo. Och, sam nie wiem. Biedaczka załamała się chyba nerwowo.

— Myślę... Myślę, że ona nas przekleła — powiedziała niespokojnie Louise. — Och, Harry, wolałabym, żeby tak nie było.

Odtąd miała wrażenie, że całe jej nowe życie prześladuje i zatręwa złowrózba postać starej, szalonej kobiety. Kiedy wyjeżdżała samochodem, kiedy jeździła konno lub spacerowała z psami, zawsze napotykała tę samą skuloną staruszkę w zniszczonym kapeluszu, spod którego wylaziły kosmyki siwych włosów. Stara kobieta nieustannie mamrotała pod nosem przekleństwa.

Louise zaczęła wierzyć, że Harry miał rację — ta kobieta musiała być szalona. Ale to przekonanie nie rozwiązywało problemu. Pani Murgatroyd nigdy nie przekroczyła progu domu, nie posunęła się do wyraźnych gróźb ani też nie próbowała użyć siły. Przycupnięta, stała czaiła się za bramą posiadłości. W tej sytuacji odwoływanie się do pomocy policji nie miało by sensu, zresztą Harry Laxton był temu przeciwny. Stwierdził, że to mogłoby jedynie wzbudzić miejscową sympatię dla starej wariatki. W ogóle nie traktował całej sprawy tak poważnie jak Louise.

— Nie przejmuj się tym, kochanie. W końcu zmęczy ją ta głupia zabawa. Być może tylko próbuje na nas swych sztuczek.

— Nieprawda, Harry. Ona... Ona nas nienawidzi. Czuję to. Ona... Ona nam źle życzy.

— Nie jest czarownicą, kochanie, mimo że na taką wygląda. Nie zdręczaj się tym wszystkim.

Louise zamilkła. Teraz, kiedy początkowa gorączka związana z przeprowadzką minęła, czuła się dziwnie samotna i pozbawiona zajęcia. Była przyzwyczajona do życia w Londynie i na Riwierze. Nie znała życia angielskiej prowincji ani też nie żywiła do niego upodobania. Nie interesowała się Ogrodnictwem, kwiaty potrafiła jedynie układać w wazonie. Tak naprawdę nie przepadała za psami. Sąsiedzi, jakich miała, nudzili ją. Najbardziej polubiła jazdę konną, jeździła z mężem, czasami, kiedy Harry był zajęty, sama. Jeździła wolno po lasach i po drogach, znajdując prawdziwą przyjemność w miękkim chodzie pięknego konia, którego Harry specjalnie dla niej kupił. Lecz nawet Prince Hal, wrażliwy kasztanowy rumak, płoszył się i parskał, mijając skuloną postać wrogo nastawionej kobiety.

Pewnego dnia, będąc na spacerze, Louise zebrała się na odwagę. Przeszła obok pani Murgatroyd udając, że jej nie zauważa, a potem nagle zawróciła i podeszła wprost do niej.

— Co to ma znaczyć? — spytała bez tchu. — O co chodzi? Czego pani chce?

Staruszka zamrugnęła oczami. Miała chytrą, ciemną cygańską twarz, okoloną kosmykami siwych włosów i kaprawe, podejrzliwe oczy. Louise przeszło przez myśl, czy przypadkiem stara kobieta nie piła.

— Czego chcę, pyta pani? — odezwała się jęśliwym, ale groźnym jednocześnie głosem. — Coś podobnego! Tego, co zostało mi zabrane. Kto wyrzucił mnie z Kingsdean? Mieszkałam tam jeszcze, gdy byłam dziewczyną, blisko czterdzieści lat. To była podłość wyrzucić mnie stamtąd i przynieść to tobie i jemu nieszczęście!

— Dostała pani ładny domek i... — Louise urwała.

Kobieta wzniosła ręce do góry.

— Co mi po nim? — wykrzyknęła. — Chcę swego starego kąta i własnego kominka, przed którym siadywałam całe lata. A co się tyczy ciebie i jego, powtarzam ci, nie będzie szczęścia w nowym, pięknym domu. Czarny smutek wokół ciebie! Smutek i śmierć, i moje przekleństwa. Oby ci ta ładna twarz zgniła!

Louise odwróciła się i potykając się zaczęła biec. „Muszę stąd wyjechać — myślała. — Musimy sprzedać dom! Musimy stąd odejść!”

W tej chwili takie rozwiązanie wydało jej się proste. Była zaskoczona, spotykając ze strony Harry'ego całkowite niezrozumienie.

— Odejść stąd? — wykrzyknął. — Sprzedać dom? Z powodu gróźb starej wariatki? Musisz być szalona.

— Nie jestem. Ona... Ona mnie przeraża. Czuję, że coś się stanie.

— Pozostaw panią Murgatroyd mnie — rzekł groźnie Harry Laxton. — Już ja ją uspokoję!

Między młodą panią Laxton i Clarice Vane narodziła się przyjaźń. Różniły się co prawda charakterem i upodobaniami, ale obie były mniej więcej w tym samym wieku i w towarzystwie Clarice Louise odzyskała spokój ducha. Clarice była osobą niezależną i pewną siebie. Louise wspomniała o sprawie pani Murgatroyd i jej gróźbach, ale Clarice zdawała się uważać całe wydarzenie za bardziej dokuczliwe niż groźne.

— To głupia historia — powiedziała — ale wierzę, że to może być dla ciebie bardzo denerwujące.

— Wiesz, Clarice, czasami się okropnie boję. Serce wali mi jak młotem.

— Nonsens, nie możesz pozwolić, aby taka głupia rzecz wprawiała cię w zły nastrój. Ona na pewno wkrótce się tym sama zmęczy.

Louise milczała przez chwilę.

— Co się stało? — spytała Clarice.

Po chwili ciszy Louise wybuchła:

— Nienawidzę tego miejsca! Nienawidzę tu mieszkać! Las i ten dom, i ta okropna cisza w nocy, i te dźwięki wydawane przez sowy. Och, i ludzie, i wszystko inne. „Ludzie? Jacy ludzie? Ludzie we wsi. Te podpatrujące, plotkujące stare panny.

— Co takiego powiedziały? — zapytała ostro Clarice.

— Nie wiem. Nic szczególnego. Ale one mają złośliwe myśli. Kiedy z nimi porozmawiasz, czujesz, że nie można nikomu ufać, nikomu.

— Zapomnij o nich — powiedziała Clarice stanowczo. — Nie mają nic do roboty oprócz plotkowania. Bzdury, o których rozprawiają, są w większości ich wymysłem.

— Żałuję, że w ogóle tu przyjechaliśmy — odezwała się Louise. — Ale Harry'emu tu się tak bardzo podoba. — Jej głos zmiękł.

„Jakże ona go kocha” — pomyślała Clarice i szybko powiedziała:

— Muszę już iść.

— Odwiezie cię samochód. Przyjdź wkrótce.

Clarice zgodziła się. Wizyta przyjaciółki podniosła Louise na duchu. Harry był zadowolony, znajdując żonę w radosnym nastroju, i od tej pory stale ją ponaglał, aby zapraszała Clarice częściej.

— Dobre wieści, kochanie — powiedział pewnego dnia. — Co takiego?

— Załatwiłam problem starej Murgatroyd. Jej syn mieszka w Ameryce. Ustaliłem, że do niego wyjedzie. Zapłacę jej za bilet.

— Och, Harry, to cudownie. Wierzę, że w końcu zacznę lubić Kingsdean.

— Zaczнешz lubić? Przecież to najcudowniejsze miejsce na ziemi!

Louise lekko zadrżała. Nie mogła tak łatwo pozbyć się zabobonnego strachu.

Jeżeli panie z St. Mary Mead liczyły, że będą miały przyjemność osobiście poinformować młodą żonę o przeszłości jej męża, to ich nadzieje spaliły na panewce wobec szybkiej akcji samego Harry'ego Laxtona.

Panna Harmon i Clarice Vane były w aptece pana Edge'a — jedna kupowała naftalinę, druga kwas borny — kiedy wszedł Harry Laxton z żoną.

Przywitawszy się z paniami, Harry odwrócił się do lady z prośbą o szczoteczkę do zębów. Nagle urwał w pół słowa i zawołał radośnie:

— Kogo to ja widzę! Bella, wprost nie mogę uwierzyć!

Pani Edge, która wyłoniła się z zaplecza, aby obsłużyć licznych klientów, uśmiechnęła się do niego szeroko, pokazując duże, białe zęby. Kiedyś była ładną, przystojną dziewczyną i nadal

zachowała ślady urody, choć przytyła, a rysy jej twarzy zrobiły się nieco pospolite. Gdy się odezwała, oczy jej pełne były ciepła.

— Tak, to ja, Bella. Cieszę się, że cię widzę po tylu latach nieobecności.

— Bella była moją starą miłością — zwrócił się Harry do żony. — Byłem w niej zakochany po uszy. Nieprawdaż, Bello?

— Skoro tak twierdzisz — powiedziała pani Edge.

— Mój mąż jest bardzo szczęśliwy — Louise uśmiechnęła się — widząc znów swoich starych przyjaciół.

— Och, nie zapomnieliśmy o tobie, Harry — zapewniła pani Edge — To brzmi jak bajka — to, że się ożeniłeś i wybudowałeś nowy dom na miejscu zrujnowanego, starego Kingsdean.

— Wyglądasz świetnie i kwitnąco — skomplementował Harry, a pani Edge roześmiała się i odparła, że nic jej nie dolega; a jeżeli chodzi o tę szcztoczkę do zębów...

Clarice, widząc zmieszany wyraz twarzy panny Harmon, pomyślała z triumfem: „Och, dobra robota, Harry. Pokrzyżowałeś im plany”.

Doktor Haydock odezwał się ostro do swej siostrzenicy:

— Co to za brednie o starej Murgatroyd, która wałęsa się wokół Kingsdean, wygraża pięścią i przeklina nowe porządki?

— To nie żadne brednie, ale prawda. Louise jest tym bardzo zdenerwowana.

— Powiedz jej, żeby się nie przejmowała. Kiedy małżonkowie Murgatroyd byli stróżami, stale narzekali na to miejsce. Zostali tam tylko dlatego, że stary Murgatroyd pił i nie mógłby znaleźć innej pracy.

— Powiem jej to — zgodziła się Clarice z powątpiewaniem w głosie. — Myślę, że i tak ci nie uwierzy. Stara kobieta wprost ziejże furia.

— Lubiła Harry'ego, kiedy był chłopcem. Nie mogę tego zrozumieć.

— Och, wkrótce się jej pozbędą — stwierdziła Clarice. — Harry płaci za jej przejazd do Ameryki.

Trzy dni później Louise spadła z konia i zabiła się. Świadcami wypadku byli dwaj mężczyźni obsługujący ciężarówkę z pieczywem. Zobaczyli Louise wyjeżdżającą z bramy, zobaczyli starą kobietę, jak wyskakuje na drogę, wymachuje rękami i krzyczy, zobaczyli jak koń rusza, skręca, a potem pędzi szaleńczo przed siebie, przerzucając Louise Laxton przez łeb.

Jeden z nich został przy nieprzytomnej Louise, nie wiedząc co robić, podczas gdy drugi pobiegł do domu po pomoc. Harry Laxton wybiegł z twarzą śmiertelnie bladą. Wymontowali drzwi z ciężarówki i na nich przenieśli Louise do domu. Zmarła, nie odzyskując przytomności, zanim zdążył przybyć lekarz.

(Koniec rękopisu doktora Haydocka)

Kiedy następnego dnia doktor Haydock odwiedził pannę Marple, z zadowoleniem stwierdził, że jego pacjentka jest o wiele bardziej ożywiona, a na jej policzkach zagościł rumieniec.

— A więc, jaki jest werdykt?

— W czymże tkwi problem, doktorze? — odparowała panna Marple. — Droga pani, czyż muszę to pani powiedzieć?

— Przypuszczani — zawyrokowała panna Marple — że jest nim dziwne zachowanie dozorczyń. Dlaczego zachowywała się w taki dziwny sposób? Owszem, ludzie cierpią, pozbawieni starego kąta, ale przecież to nie był jej dom. W rzeczywistości, gdy tam mieszkała, skarżyła się i narzekała. To wygląda bardzo podejrzanie. A przy okazji, co się z nią stało?

— Uciekła do Liverpoolu. Wypadek ją przestraszył. Doszła do wniosku, że tam może poczekać na swój statek.

— Komuś było to bardzo na rękę — powiedziała panna Marple. — Myślę, że „problem zachowania się dozorczyń” można łatwo rozwiązać. Przekupstwo, czyż nie?

— To pani rozwiązanie?

— Jeśli zachowywanie się w taki sposób nie było dla niej naturalne, musiała zatem, jak to się mówi, „grać”, a to oznacza, że ktoś jej za to zapłacił.

— I wie pani, kto to był?

— Myślę, że wiem. Obawiam się, że to znów pieniądze. Zauważyłam, że mężczyźni zawsze gustują w jednakowych typach.

— To już dla mnie zbyt mądre.

— Wszystko się ze sobą wiąże. Harry’emu Laxtonowi podobała się Bella Edge — pełna życia brunetka. Taka sama jest pańska siostrzenica, Clarice. Tymczasem jego żona była w zupełnie innym typie — niezaradna blondynka — całkiem nie w jego guście. A więc ożenił się z nią dla pieniędzy. I również z tego powodu ją zamordował!

— Użyła pani słowa „morderstwo”?

— Tak, wygląda na odpowiedniego typu. Atrakcyjny dla kobiet i całkiem pozbawiony skrupułów. Przypuszczam, że chciał zatrzymać pieniądze swej żony i ożenić się z pańską siostrzenicą. Być może widywano go, jak rozmawiał z panią Edge, ale nie sądzę, by darzył ją jeszcze sentymentem. Chociaż zapewne dla własnych celów uczynił wszystko, żeby biedna kobieta tak myślała. Wyobrażam sobie, że wkrótce miał ją pod pantoflem.

— Jak pani sądzi, w jaki sposób ją zamordował?

Panna Marple zapatrzyła się na chwilę przed siebie swymi sennymi, niebieskimi oczami.

— To było bardzo dobrze zaplanowane w czasie — żeby pracownicy piekarza mogli być świadkami. Zobaczyli starą kobietę i oczywiście temu przypisali przestępstwo. Ale wyobrażam sobie, że mógł paść strzał z wiatrówki albo z procy — Harry był dobry w strzelaniu z procy — w momencie, gdy koń mijał bramę. Koń poniósł i zrzucił panią Laxton. — Panna Marple przerwała, marszcząc brwi. — Mogła ponieść śmierć w wyniku upadku, ale tego Harry nie mógł być pewien. Wygląda na człowieka, który dokładnie ustala plan, niczego nie pozostawiając przypadkowi. Pani Edge była w stanie dostarczyć mu coś odpowiedniego bez wiedzy męża. W przeciwnym razie, po cóż by Harry się nią zajmował. Myślę, że miał pod ręką jakiś silny narkotyk, który można było podać nieprzytomnej kobiecie, zanim pan zdążył przybyć, doktorze. W końcu, jeśli kobieta spadła z konia, ma ciężkie obrażenia i umiera, nie odzyskując przytomności, lekarz nie ma powodu niczego podejrzewać, nieprawdaż? Uzna to za szok lub coś podobnego.

Doktor Haydock przytaknął.

— Dlaczego pan jednak coś podejrzewał? — spytała panna Marple.

— Nie wymagało to zbyt wiele sprytu z mojej strony — odparł doktor Haydock. — Banalna, znana prawda — zadowolony z siebie morderca nie zachowuje do końca odpowiednich środków ostrożności. Pocieszałem właśnie pogrążonego w smutku męża, czując cholerne współczucie do faceta, gdy ten rzucił się na kanapę, aby wykonać trochę aktorskich sztuczek, i wtedy wypadła mu z kieszeni strzykawka do robienia podskórnych zastrzyków. Chwycił ją natychmiast i wyglądał na tak przestraszonego, że zacząłem się zastanawiać. Harry Laxton nie używał narkotyków i był w doskonałym stanie zdrowia. Co więc robiła u niego strzykawka? Zrobiłem sekcję zwłok, zakładając różne możliwości. Znalazłem strofantynę. Reszta już była prosta. U Laxtona znaleziono strofantynę, a przesłuchiwana przez policję Bella Edge załamała się i przyznała, że mu ją dostarczyła. W końcu pani Murgatroyd wyznała, że to Harry Laxton wynajął ją do robienia tych historii z przeklinaniem.

— A pańska siostrzenica zdążyła już ochłonąć?

— Tak, czuła pociąg do tego faceta, ale sprawa nie zaszła za daleko. — Doktor wziął swój rękopis. — Piątka dla pani, panno Marple. I piątka dla mnie za moje lekarstwo. Wygląda już pani prawie tak samo dobrze jak dawniej.